

Płomyczek

Rok 25 Nr 14

pisemko dla młodszych dzieci

15. III. 1947 r.



NA WIOSENNYM WIETRZE

ZNAKI WIOSNY

Uważaj! Uważaj — jeśli
dzikie gęsi po niebie zaczną strzały kreślić,
jeżeli w jakiejś tajemniczej chwili
wyskoczą spod ziemi zawilce,
wybuchną jaskry łąkami i stokrotnie
przy naszym starym płocie...

Uważaj! Uważaj! Piotrze,
jeżeli wiatr pozłotą policzki twoje otrze,
jeżeli twój koń z patyka
od rana skacze i bryka,
nie patrzy, rów czy droga,
a bocian idzie łąką na czerwonych nogach,
jeżeli mama z hukiem na strych wyniesie krosna
to już nadeszła wiosna!...

M. Kownacka

*

POWRÓT PTAKÓW

Powracają ptaki,
każdy ptaszkom rad.
Zabawia, ożywia
nasz ogród i sad.
Lot daleki
ptaszki znużył.
Spoczywają
po podróży.

Nim drzew liście
się rozwina,
śpiewy ptaszek
ku nam spłyną.
Powracają ptaszki
z południowych stron,
dostrajają głosy
na srebrzysty ton.

Wnet rozpoczną
koncert w lesie.
Słodką piosnkę
wiatr poniesie
między drzewa,
między krzewy...
Czy słyszycie
już te śpiewy?

L. Wiszniewski

SKARB POD KASZTANEM

Na pagórku, za wsią zbiegowisko.

— Co się stało? Co się stało?

— A dy nie widzisz? Kasztan wichura w nocy wyróciła.

— Ojej! Takie wielgachne drzewo.

Żalowali ludzie kasztana. Wiosną się, jak choinka, w swoje świeczki stroił, w lecie cień dawał, w jesieni ile to było uciechy z kasztanów w każdej chałupie. I zabawa pod nim była najlepsza, tyle tam było na tym pagórku dołów, rowów, schowanecek. Powiadali ludzie, że to po pierwszej światowej wojnie okopy; kto by to tam pamiętał. Tak dawno. Kasztan to pamiętał i dobrze nawet, bo mu wtedy biedakowi cały jeden konar kula armatnia odstrzeliła. Tylko martwy, poszarpany sę sterczał. Ale drzewo rosło sobie dalej i kwitło rok po roku spokojnie, aż tu dziś...

Pogadali ludziska, pogadali i poszli każdy do swojej roboty, gdzie tam komu któredy. Została jeno dzieci gromadka. Myszkują po gałęziach, włączą do wielkiej jamy, co ją drzewo padając w ziemi wyrwało. Nagle któreś — bodaj chyba Filip Zalesiek — woła:

— Mam coś! mam coś!

— Co takiego? Pokaż!

— A kiedy nie mogę wydobyć, bo mocno siedzi w ziemi. Dajcie no jakiego patyka.

— Patyka... Patyka...

Znalazł się patyk. Filip pogrzebał, podlubał i po chwili czerwony jak burak i zasapany z wysiłku wyciąg-



nął z ziemi zagadkowy przedmiot. Butelka nie butelka, pudełko nie pudełko. Ciężkie jak nie wiem, żelazne chyba. Na końcu jakby śrubka czy co, ale się przekręcić nie daje, bo zardzewiało wszystko ze szczętem.

Wydostali to na wierzch — nara-da.

— Co to takiego?

— Garnek.

— Butelka.

— Ale skąd. Za ciężkie. Przecie to żelazne chyba.

— Ale co we środku?

— Może złoto. Skarb?! Ojej!

— Co tu długo radzić. Trzeba rozbić.

— Rozbić! Rozbić!

— Ba, ale czym?

— Czym? kamieniami. Mało ich to tu leży.

— No to pracć, chłopaki.



Zaczęli tedy prac. Ze wszystkich stron. Trzask, trzask, trzask, dzwoni skorupa.

Nagle. Jezu miłosierny! Zawirowało wszystko w oczach przerażonych dzieci. Straszliwy łoskot. Blask. Piorun. Rzuciło coś wszystkich o ziemię. Nie wszyscy się sami podnieśli. Ta butelka czy garnek to był nie-

wystrzelony pocisk, który wybuchnął od uderzenia w jakieś swoje czułe miejsce kamieniem. Szczęście jeszcze, że dzieci, żeby jedno od drugiego kamieniem nie dostać, rozstawiły się dość szeroko.

A biednego Józka Kowalczyka powieźli z oberwaną ręką do szpitala.

Konarski Kazimierz

FINEK

Jeżeli lubicie pieski tak jak mała Dwidzia, to polubicie z pewnością Finka. O, bo Finek był pieskiem nadzwyczajnym. Wesoły, nieustraszony! A jaki figlarz! Jakie to on walki staczał z ... pantoflem Dwidzi albo z innym groźnym, włochatym przeciwnikiem na długim kij, co to nim Katarzyna podłogę zamiata. Straszliwy ten wróg wiele włosów

postradał w walce z małym szczeniaczkiem.

Każdą przyzwoitą kąpiel Finek uważał za stosowne poprawić w bajorku za podwórzem, nie znosił bowiem zapachu mydła.

Dużo było śmiechu, a i zmartwienia, zanim Finek wyrósł i zmądrzał.

Śliczną tę książeczkę napisał Jan Grabowski, a wydała „Nasza Księgarnia“. Warto ją przeczytać.

Ze strugi żaba wyrzała,
bystro dokoło spojrziała
i zakumkała w cały głos,
że niebezpieczny żabi los.

— He, kumo miła, kumotrze,
kiedy nareszcie odpocznę.
Co dnia — do zmroku od rana —
patrzę czy nie ma bociana.

Z topoli w łąki przeleciał
i stąpa dwornie z waszecia.
Po trawach zroszonych
na długich nogach czerwonych.

Chodzi w zieleni łąkowej,
przechyla na bok dziób, głowę,
unoszą nogi czerwone,
śnią mu się łowy zielone.



Zielone żaby, zielony łów...
Hajda! pod wodę, żabi huf!
Wojciech zły chodzi: człap, człap, człap...
— Czemu na łące nie ma żab?

Hanna Januszczyńska

ZGODA

Siedział obok śmietnika skulony,
wynędzniały, obojętny na wszystko.

— Kici... kici — ucieszyła się
Wikta. Przykucnęła przy nim. Nie
uciekał. Patrzył na nią dużymi,
smutnymi oczyma. Maleńki, białoszary,
wybrudzony i bardzo chudy.
Paromiesięczny zaledwie kociak.

— Nieboraku! — pożałowała go
Wikta. — Chodź, zabiorę cię do
domu.

Otuliła fartuszkciem, przygarnęła
do siebie i biegiem wpadła do izby.
— Mamo! Znalazłam kociaka, o!
Mamo, on już będzie mój, co? Nie
wypnacie go do pola... Taki mi-
zerota.

Matka odwróciła zmęczone oczy
od komina.

— Obierz mi kartofli, tata wnet
wróci. I nie bzikuj!

— Mój kocik, taki biedneńki,
brzusik mu aż przysechł z głodu.
Dostanie mlika, mama się zgadza...
Jak mu to serduszek bije — przema-



wia Wikta do kotka w takt spadających do koszyka obierzyn kartoflanych.

— Et, głupia — śmieje się Helka — do kota gada, jakby to zwierzę coś rozumiało!

— No, dejże mu trochę tego mlika — pada wyrok od pieca — takie to jakieś liche, zagłodzone. Tam, w czerwonym garnku...

Sprawa jest załatwiona: matka ma bardzo dobre serce, żal jej widocznie stworzenia.

Radość biegnie po kosteczkach pokrytych skórą. Nosek węszy... Języczek: chlap, chlap, chlap... miga pośpiesznie. Mleko! Pachnące, podgrzane mleko... Wreszcie kocie gardelko zaczyna dziękczynną piosenkę: mruczy... Na małych wąsikach drżą białe kropelki mlecznej rosy.

— Teraz pójdziesz tu, na przypiecek — podnosi go mała opiekunka. — Wyśpisz się, wygrzejesz, to ci będzie lepiej.

— Ej, ty „kocia mamó“! — śmieją się z Wikty.



— Niech będzie — godzi się mała na przezwisko.

W parę dni, aż dziwują się wszyscy: jak to kocisko szybko przyszło do siebie! Sierść czyściutka i gładka, brzuszek okrągły, kości nie widać. Aż miło spojrzeć. A wesoly! Łasi się do wszystkich, mruczy, biega za byle czym po całej izbie, przewraca się i figluje. Wnosi z sobą moc radości w życie całej rodziny.

Pewnego dnia Buruś wymknął się przez niedomknięte drzwi i wybiegł na podwórze. Wikta szukała go, zaglądała w każdy kąt, wołała, wreszcie rozplakała się — wszystko na próżno.

— Nie ma twojego Burusia! — śmiał się Józek od sąsiadki. — Psy go zeżarły na śniadanie!

— Skąd wiesz? Widziałeś? — Wikta zamarała z przerażenia.

— Widziałem z niego skórkę, jak suszyła się na drążku! — zachichotał złośliwie chłopak i uciekł.

Cały dzień wokół domu Wikty biegał Józek i jego koledzy miaucząc rozgłośnie na wszystkie tony. Wikta początkowo wybiegała za każdym razem. Serce jej się krajało z żalu, gdy stwierdzała, że to ci niedobrzy chłopcy nabierają ją, a Burusia jak nie ma, tak nie ma...

Wieczorem znów pod drzwiami ciuchto odezwało się: — Miau... miau...

Wstrętne te chłopaczyska. Wikta już się nie ruszyła... Matka wyjrzała za drzwi. Z dumnie zadartym w górę ogonkiem wpadł Buruś do izby i od razu hyc! — Wikcie na kolana.

— Mój ty kochany! Burusiu malutki... Toś wrócił? — cieszy się Wikta. — Jaki to mądry kot — sam



wrócił! Teraz już będziesz sobie wychodził i wracał... Już wiesz, że jesteś nasz!...

Któregoś dnia przybiegła Weronka z oficyny i opowiada Wikcie, jakiego to psa ma Józek.

— Taki duży, kudłaty, cały żółty... Znalazł go gdzieś i przyprowadził. Cudne psisko! Józek mu będzie stawia.

Pobiegły obie zobaczyć. Wikta bardzo lubi psy. Lubi wszystkie zwierzęta.

Głodzi kudłaty łebek, zagląda mu w oczy.

Józek zbija deseczki i śmieje się: — Podoba ci się mój Reks? Ale teraz to już po twoim kocie będzie! Niech no tylko wyjdzie!

Taki dziwny ten Józek. Wszystkim lubi dokuczyć, a przecież serce ma dobre. Znalazł Rekxa wałęsającego się za miastem i przyprowadził do domu. Psisko było zgonione, głodne. Dał mu własną kromkę chleba i coś tam z obiadu. A przecież u nich w domu się nie przelewa. Będzie się musiał z Reksem dzielić sam.

— Ale nie trap się, jakoś to będzie! — pociesza pieska.

— A to wcale nie jest twój pies! — mówi powoli, z rozmysłem Wikta. — Pewnie się komu zagubił...

— Napisz kartkę i powieś na słupie — radzi Weronka — bo powiedzą, żeś ukradł!

— Też mądrale! Nic innego nie możecie wymyślić? — I skoczył do nich z kulakiem.

Z piskiem uciekły.

...Powiedzą, że ukradł! Przecież go znalazł w polu. Ale ta myśl zaczęła go dręczyć... Może dziewczęta miały słuszość... A tak mu żal psa...

Wieczorem, ze ściśniętym sercem, kaligrafuje na kartce papieru: pies dóży, żuły, kudłaty znalezione.

Zgłosić się tu, na parterze, nr 6.

I nalepił kartkę na bramie domu. Czy ktoś przyjdzie? Czy mu psa zabiorą?

Po południu przechodził przed domem Janek. Przeczytał, roześmiał się i zaczął coś smarować niebieskim ołówkiem na kartce: duży przez u, żółty przez ó — poprawił starannie.

Minęło kilka dni niepewności i oczekiwania. Kartkę deszcz zmoczył i zamazał. Wicher ją wreszcie zerwał... Po psa nikt się zgłosił.

Józek odetchnął z ulgą.

— Teraz to już mogę powiedzieć, że pies mój! — i ze zdwojoną energią wykańczał budę dla Rekxa. — Przecież takiego wielkiego psa nie podobna trzymać w mieszkaniu.

Wikta przygląda się robocie: — Piękny dom będzie miał twój pies...

— A gdzie twój kot? Bo właśnie Reks głodny — przygaduje po swojemu Józek. — Kci... kci... kci...



Buruś nie wiadomo kiedy wysunął się za Wikta z domu. Siedzi i myje pyszczek. Na wołanie Józka poderwał się i już mu się u nóg lasi. Ale Józek, jak to Józek — zawsze z wszystkimi i wszystkim w wojnie. Zawsze złośliwy, przykry, psotny. Nikt sobie rady z nim dać nie może, bo duży i silny. A już specjalnie dziewczynki boją się go i wołają nie zadzierać!

— A kysz, kysz! — wrzasnął nagle na kociaka. Płoszy go i goni po całym podwórku.

Buruś zaskoczony i przerażony ucieka na oślep, pędzi, chciałby się schować... Z impetem wpada prosto na leżącego za węglem Reksego...

— O jej, jej! — krzyczy rozpaczliwie Wikta pobladała ze strachu.

— Reks! Nie rusz! Reks — Józek rzuca się pomiędzy zwierzaki. Ręce mu dygocą z przerażenia. Bo gdyby Reks Burusia dopadł... Nie, za nic na świecie...

Ale pies ani myśli skrzywdzić ma-

łego kociaka: spogląda nań spokojnie łagodnymi, okrągłymi oczyma. Biedny kocina zjeżył się tylko z przerażenia, nawet miauknąć nie ma odwagi. Stoją naprzeciw siebie nieruchomo. Patrzą i nie robią sobie krzywdy... Aż dziw!

Reks pierwszy wykonuje przyjacielski gest: lekko porusza strzępiastym ogonem. A kociak nie ucieka... Obserwuje rozchybotany ogon i... pac, lekko chwyta go w łapki. Delikatnie, tak na żarty. I zaczynają oba na dobre już figlować.

— Mój Reksiku kochany — ze łzami w oczach obejmuje Wikta psa za szyję — jakiś ty dobry, pocziwy... O ile lepszy od niektórych chłopców — dodaje z żalem w głosie. Tymczasem stał się cud: Józek, ten niedobry Józek, który odgrażał się, że da Burusia Reksowi na śniadanie, trzyma kotka na ręku i głasza delikatnie.

— Biedny mały, zestruchał się bardzo... Ale że też pies z kotem mogą żyć w zgodzie. No, masz, trzymaj go, Wikta... I nie becz, bo przecież nie masz o co... Ja już nie będę...

Wikta spojrzała nań z radością. Ten Józek nie jest wcale zły.

Teraz już pies i kot pogodziły ich na długo.

Zofia Bronikowska



DWA GAWRONKI

Posmutniały
dwa gawronki.
Deszczyk zmoczył
im ogonki.

Wróble-psoty
na to żartem:
— Te ogonki
nic nie warte!

Już się na nic
wam nie zdadzą!...
Odciać, odciać!...
wróble radzą.

Obraziły
się gawronki...
Przeleciały
pola, łąki.

Siadły w lesie
na sosence...
Nie polecą
do wsi więcej!..

L. Wiszniewski

A gawronki
jak gawronki:
— Ciach, ciach, ciachu...
tną ogonki.

Wróble-psoty
myk, na strzechę
i tam dzwonią
srebrnym śmiechem.

KAJTKOWE PRZYGODY

O WRONKACH, BRONKACH I SKOWRONKACH

Kle! Kle! — słoneczko coraz lepiej dogrzewa, już nie tylko ja, ale i moi gospodarze nie siedzą w domu!

Śniegi już zeszły, ziemia rozmarzła, na śmietnikach, koło kopców, na gościńcu, wszędzie pełno różnych skarbów.

Zwiedziała się o tym Wronisława i różne inne cioty-wroniska i dalejże po naszym podwórku myszkować jak po swoim własnym!

Łazi toto kroczyškami jak żołnierze na mustrze i co i rusz grubym jak kłonicie dziobasem ciągnie a to gnat ze śmietnika, a to jaką szmatę, a to stary chodak.

Zgniewało mnie to okrutnie, powiadam:

— Fora ze dwora! — i jazda na nie z dziobem!

A to akurat Antek z Kacprem jadą z taczkami i dalej te wszystkie śmieci grabić i wywozić na taką wielką kupę za stodołą.

Mówili, że będzie z tego „kompost”. Nie wiem, co to jest „kompost”, ale to była bardzo wesoła robota.

Oni grabili, wozili, a ja pilnowałem, żeby żadna kura ani wrona nie kradła tych skarbów; co się która tylko zbliżyła, to dostawała po ogonie.

Ja tutaj dozoruję, a tam patrzę — idzie gospodyni, babcia i Weronika z koszami, w parcianych fartuchach, idą prosto do kopca z ziemniakami, odwalają go i zaczynają ziemniaki

przebierać. A tu już szara gęś i kury się zwiedziały, już w dyrdaczki za nimi!...

Myślę sobie; co tu robić, chłopcom trzeba pomagać i gospodyni także, ale tam siedzi moja babulka, to tamto dla mnie ważniejsze — i puściłem się cwałem do kopca.

Przypadłem akurat na czas, żeby rozpędzić całą bandę kaczek i kur, a najlepiej dostała ode mnie po ogonie szara gęś.

Babulka mówi:

— Dobrze, Kajtuś, dobrze! Trzymaj porządek, żeby nam tu nikt nie psocił.

Stałem sobie na kopcu, robota idzie jak się patrzy.

— Uważaj, Werosia, te najlepsze ziemniaki dawaj na sadzeniaki, te w gorszych łupinkach zje sobie nasza świnka a te zgniłe — prosto z mostu — pójdą sobie do kompostu!

Idzie przebieranie ziemniaków, że aż furczy, ja porządku pilnuję, a tu ci gospodarz nagle kasztana ze stajni wyprowadza, zawiódł go pod szepę, do brony założył i zawołał:

— Ej tam, chłopaki, zostawcie na dzisiaj tę robotę przy kompoście, bierzcie łopaty, pójdziemy na łące porządek robić!

Jak ja to usłyszałam, poderwałem się z kopca na skrzydłach i już byłem przy nich!

Na łące porządek robić! Co to znaczy? I po co te łopaty? Chyba teraz to już nie innego, tylko dziury będą kopać, żeby prędzej żaby na świat powylaziły!

Ruszył gospodarz z broną, za nim chłopcy z łopatami, a ja na ostatku, to pomaszeruję na piechotę, to kawałek podfrunę sobie, jak się da.

Babulka woła za mną:

— Toś ty taki, Kajtuś, to nas zostawiłeś tym kurom i kaczkom na rozdziobanie!...

Ale ja nic, ani się nie obejrzę, udaję, że nie słyszę, bo co łąka to łąka, to dla bociana najważniejsze i kwita!

Gospodarz mówi do chłopców:

— Dziś wybronujemy naszą łąkę, a za dwa dni kompost się po niej rozruci. Zobaczycie, nikt nie będzie miał takiej trawy, jak my!

Przyjechaliśmy na łąkę, gospodarz bronę opatrzył, ustawił jak potrzeba i zawołał:

— A wy chłopaki, nie bałamucić, tylko mi na całym pastwisku kreto-winy porozrzucić!

Chłopcy ruszyli z łopatami do roboty, a gospodarz zawołał — Wio!! na kasztana i poszli równo pas po pasie przez calutką łąkę. A ja tuż za broną, czy też jakiej żabki spod ziemi nie wybronuje.

Żaba żadna się nie wybronowała, ale za to wronisków nazlatywało się tyle, że aż łąka od nich poczerniała.

Ja kroczyłem tuż za broną, więc żadna wrona nie śmiała się przysunąć za blisko, ale dyrdały o parę kroków za nami, myśląc, że Bóg wie jakie skarby im wybronujemy. Ale brona to nie plug! Poruszyły jej zęby ziemię, nawyczesały mchu, przewietrzyły zwartą darninę. Jeśli jeszcze tego „kompostu“ podsypią, to będzie potem ponoć łąka rosła jak

pierzyna, będą po niej żabki skakały, że aż miło. Ale tymczasem niewiele było co do lyknięcia, czasami tylko jakiś pędraczek albo dżdżownica...

Słońko dogrzewa. Poruszona ziemia pachnie niezapominajkami. Tak mi jest przyjemnie, że nawet z wronami przestałem wojować.

A tu nagle z nieba:

— Tirli, tirli, lullu, lullu! — leci polna piosenka.

Spojrzałem ku górze. Skowronek nad naszymi głowami zawisł jak na niteczce i śpiewa.

— Kle! kle! — rozłożyłem skrzydła, podleciałem parę kroczków i wzbiłem się w powietrze.

— Kle! kle! skowronku kochany, kiedy przylecą bociany? Pamiętałem przecież dobrze, że skowronki później po bocianach, ale też do ciepłych krajów odleciały!

Chciałem do niego podlecieć, o moich braci wypytać, ale on, głuptasek, wzbił się wyżej, ja za nim, on jeszcze wyżej i jeszcze, i jeszcze a ani na chwilę nie przerywa swojego:

— Tirli — firli!...

— Nic się od tego „tirlifirlika“ nie dowiem — pomyślałem sobie i wróciłem, żeby chodzić dalej za gospodarską broną, a on śpiewał nam tuż nad głową aż do samego obiadu!

Może śpiewał co i o moich braciach bocianach, ale ja po skowronczemu nie umiem, więc nic nie mogłem zmiarkować.

(Ciąg dalszy nastąpi)

M. Kownacka

BAŚN O RYBAKU I ZŁOTEJ RYBCE



Za wydmami piaskowymi,
które skrzydłem wiatr zamiata,
pod sosnami zielonymi
jest rybacka checza (chata).

Koło checzy do słoneczka
suszą się na żerdziach sieci.
A na progu siedzi babka,
a przy babce stadko dzieci.

*

Ojciec łowi dorsze w morzu,
matka jest na targu w Pucku,
babka wiąże sieć i prawi
baśń za baśnią swoim wnuczkom:
O cud — dzwonach zatopionych...
o olbrzymach, złych stolemach,
o kamieniach łabędziowych...
I o królach, co ich nie ma.

*

A ze wszystkich baśni najciekawsza
(czy to grudnie na świecie, czy lipce,
baśń słuchaną w każdej porze roku)
„O Rybaku i o Złotej Rybce“.

*

*

*

Daleko od portu,
daleko od miasta
pod piaszczystą wydumą
checza tu wyrasta
stareńka, niewielka,
krucha jak muszelka.
Ni tu psa, ni kota,
ni wesołych dzieci.
Izba pusta. W progu
leży garstka, śmieci:
Trochę rybich ostek
(że tu dzień w dzień posty)
i trzy garstki „kidzu”,
co fale przyniosły.

* *
*

Widać gospodyni
do miotły nie skora.
Komin zimniuteńki,
choć obiednia pora.

Ni szafy, ni stołu,
ni policy gładkiej,
gdzieby rzędem stały
gliniane dostatki.

Miał łóżka z pierzyną
ot, sosnowa ława
twarda jak kamienie,
do tego kulawa.

A przed checzą czołno
na brzeg wyciągnięte,
dziurawe czołnisko
całe rozeschnięte.

Koło czołna siedzi
mew kwilących para,
stary rybak z fajką
i rybaczka stara.



Powiadają mewy w ptasim swym języku:
— W morzu wiele storni i szprotek bez liku,
Dorsze też się łowią o tej roku porze.
Łososi jak mrowia. A są i węgorze.
Czemu tedy rybak nie płynie na morzu?

Powiadają mewy w swojej mewiej gwarze:
— Co robi ta starka? Co robi ten starzec?...
Czemu ona siedzi nie wiąże dzień cały?
Czemu w jego czołnie klepki pozysychały?
I dziurawe leży niby śnięta ryba?
Czy kto zaczarował tę checę?

Tak chyba!

Białoskrzydłym mewom, gdy brak odpow
na dziurawym czołnie znudziło się siedzieć.

Uderzyły w skrzydła, wzbily się w obłoki,
ogarnęły wzrokiem świat wielki, szeroki.

Pofrunęły prosto wśród radości krzyków
nad srebrzyste fale rybnego Bałtyku.

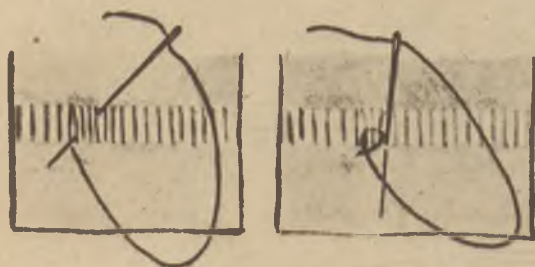
Na przekór wiatrowi, co wiał słony, ostry
płynęły na skrzydłach obie mewy — siostry.

I na przekór fali nurkowały śmiało
walcząc o żer dzienny z odwagą niemałą.
(dalszy ciąg nastąpi)

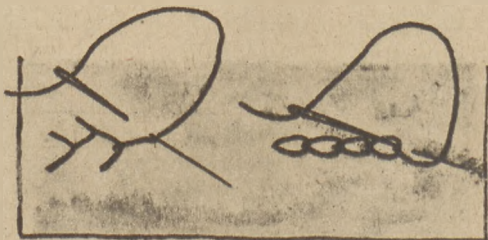
Ewa Szelburg-Zarembina

ROBIMY CHUSTECZKI

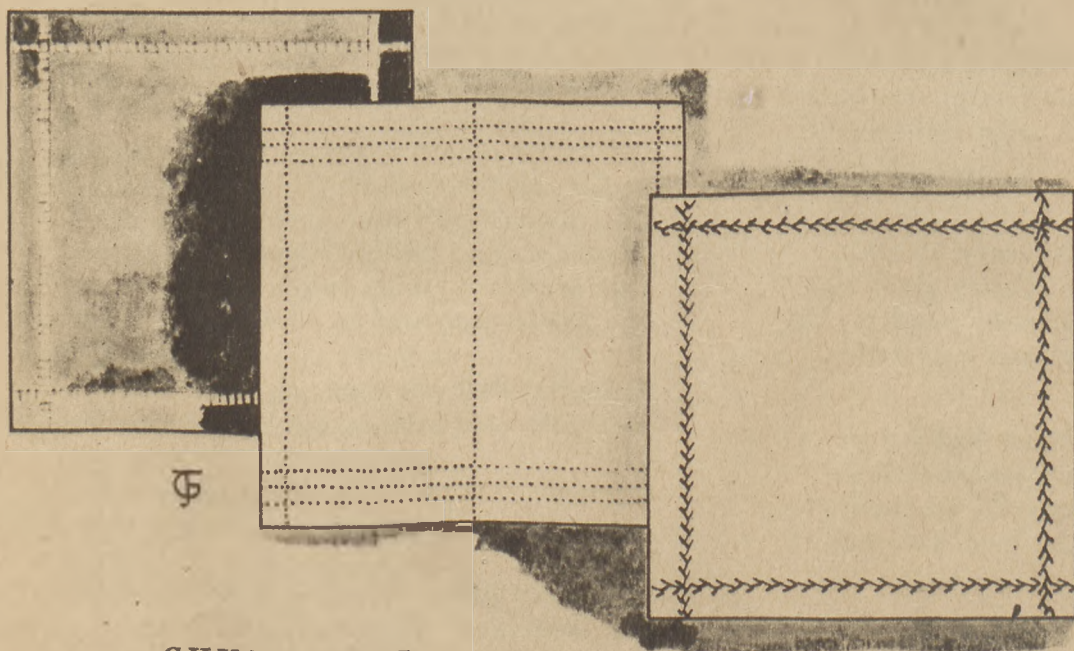
MEREŻKA



ŚCIEGI



GAŁĄZKA, SZNUREK



CHUSTECZKI

Robimy chusteczki z cienkiego płótna lub batystu.

O ile materiał jest nowy, możemy zastosować mereżkę lub przeciąganie kolorowych nitek. Jeżeli zaś szy-

jemy ze starego materiału, lepiej przytrzymać brzeg chusteczki ściegiem. Chusteczkę możemy nookoło obdzierać.

J. G. P.